

Wojciech Roszewski

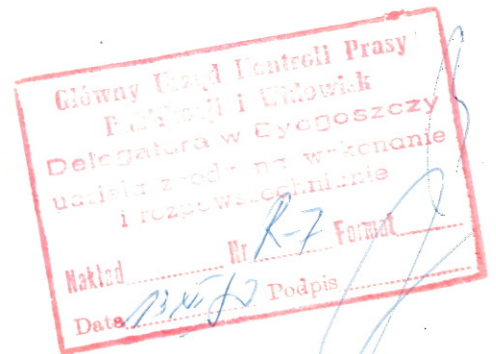
Redakcja Liter. i Report.

161
Dnia 14. XII. 80

Godz. 1605 - 1700

GLINIANY CHŁOPIEC

=====



Sen był słodki, lepki i ziarnisty jak przecukrzona konfitura malinowa, które tyle dni dojrzewały za okienkiem przysłonięte tylko fałdą pożąkłej firanki, aż wreszcie nie wytrzymałem i wylizałem je do dna ze słoiczka, co wywołało gniew ojczyma i lament matki. W tym śnie, zima już dawno się skończyła, śniegi stajały, wody spłynęły rowami i strumieniami do rzek, błoto wyschło, a ziemia zazieleniła się trawą i zabieliła kwiatami. We wnętrzu tego snu miałem już rower i właśnie skręcałem na nim z wąskiej i kamienistej ścieżki biegnącej wzdłuż toru kolejowego w daleką stronę aż dwóch żelaznych mostów, na drogę, która miała mnie zaprowadzić do antypki wyrosłej w szczerym polu, gdy zbudził mnie obmierzły ryk naszego czarnego wieprza miotającego się bezrozumnie w chlewie zbitym z grubych i nasyconych cuchnącą o każdej porze roku farbą podkładów. - Jo, pani Jadwigo - usłyszałem jeszcze nim ustał ów ryk donośny głos Pacerowej dochodzący z kuchni - ten knur ryczy, bo chce żryć, a śruty nie ma i będzie tak był jak pies do sądnego dnia.

163

Bo ja, pani Jadwigo, po tę śrutę do młyna na Bydgoską Szosę nie pójdę. Nie będę się dźwigać tylko po to, żeby mnie ludzie później paluchami na ulicy wytykali. Wolę nie dojeść i nie iść.

- To co mam zrobić, droga pani? - pytała jak zawsze irytująco onieśmiałym głosem matka. - Jak z tego wybrnąć? - To pani nie wie? - chichotała Pacerowa. - A wysłać po tę śrutę gżuba, co całe dnie wyleguje się na tapczanie, czyta książki i niepotrzebnie psuje sobie tylko oczy, bo rozumu mu od tego czytania nie przybędzie. Wej, żadna matka nie cacka się tak z dzieckiem jak pani i nie daj Boże, aż strach ogarnia na myśl, co z niego wyrośnie. Nie zaszkodzi mu, jak się przeleci do młyna i przytacha woreczek śruty. - To ładny kawałek drogi, błoto, niepogoda.

- A co? Z cukru jest? A może ze słodkiej waty? Przeżył tyle, to i to przeżyje. Niech pani spojrzysz jednego dnia na moich. Latają, dźwigają - co trzeba i co nie trzeba. - Zwłaszcza co nie trzeba.

- No, no, pani Jadwigo. Tylko bez złośliwości. Kto to w dzisiejszych czasach może przewidzieć co trzeba, a co nie trzeba?

Ja tam jednego w życiu byłam tylko pewna. Że miałam i będę miała zawsze roboty po łokcie. W lepsze czasy, owszem, wierzę, ale jak dotąd żyjemy w złych. - Nie nam kobietom je sądzić. - A co?

165 }

Możeśmy gorsze? - Nie wiem dlaczego, ale zawsze lubiłem Pacerową, choć była wielka i zwalista, a na dodatek miała ciężką rękę i nie stroniła od tego, by od czasu do czasu mnie nią zdzielić. Wybaczyłem jej nawet to, że do niedawna uczestniczyła chętnie w tykobicjach, które od czasu urzędzała mi zrozpaczona moją krnąbnością matka. - Niech go pani nie oszczędza, pani Jadwigo - mówiła przy tym. - Żeby lontrus poczuł, że mamy ten socjalizm. Doktorski synalek, psiakrew! - Po prawdzie nie byłem żadnym doktorskim, tylko nauczycielskim synalkiem, ale trudno było wymagać od Pacerowej, by przy swoim wzroście wchodziła w takie szczegóły. Wieprz przestał ryczeć równie nagle, jak zaczął, a ja leżałem z uniesioną głową i z nadstawionymi uszami, by usłyszeć, czy matka nie odrzuci czasem propozycji Pacerowej. Zdażyłem się już bowiem zapalić do tego, by pójść do młyna po tę śrutę. W myślach próbowałem już nawet drogę. Zastanawiałem się, czy pójść w stronę Bydgoskiej Szosy Świecką, koło stadionu, czy Starodworcową, a później skręcić wzdłuż rampy kolejowej, gdzie miałem nadzieję natknąć się na smolarzy przetaczających smołę z cystern do wielkiego, podziemnego zbiornika. - Pewnie ma pani rację, pani Pacerowo - po chwili milczenia wybąkała bez przekonania matka. Toż to już nie dziecko, a dobrze podrosły

chłopiec. - A widzi pani. Powoli zaczyna pani nabierać rozumu. Pójdę tedy i naszykuję mu jakiś sak. - Wraz z ciężkimi krokami Pacerowej rozległy się słodkie, błagające z góry o przebaczenie słowa matki. - Michasiu, Michasiu... - Stała i pochyliła się nade mną zawstydzona i zaczerwieniona. - Co byś powiedział, gdyby... - Wiem, wiem - odparłem w miarę jak najbardziej krótko i arogancko. - Nie ma co medytować. Pawka nie zastanawiałby się nawet przez chwilę. - Jaki znowu Pawka? - zapytała nieświadoma rzeczy matka. - Korczagin! - odkrzyknąłem już w biegu, pędząc do łazienki. - No i tak, dzięki temu, że z rana zaryczał czarny wieprz, znalazłem się wkrótce na schodzącej w dół, w stronę głównej trasy miasteczka ulicy Starocmentarnej. Z lekkim, rozedrganym sercem i z worem przewieszonym przez plecy. Dzień był podły. Ni to mglisty, ni to deszczowy. Pod stopami chlupotało błoto, a tu i ówdzie chrzęścił czarny żużel. Nad skisłym od wilgoci polem Pochójki darły się gawrony. Nagie gałązki lipek olgiwał wiatr wiejący od wzgórza nad jeziorem. U samego podnóża ulicy spotkałem - wiadomo kogo - Henia Brzozę. - Dokąd lecisz? - Do młyna. - Do młyna? - A tak. Do młyna. - Po co do młyna? - Co ci tu będę gadał, po co? Lecę i już.

Lubiłem Henia i nawet przyjaźniłem się z nim, bo trudno nie przyjaźnić się mieszkając na jednej ulicy, ale nie mogłem mu zapomnieć tego, co jemu samemu dawno już pewnie wywiało z głowy, jak go, pewny zresztą zwycięstwa, wezwałem na pojedynek w biegu, a on zostawił mnie z tyłu o dobre kilkadziesiąt metrów. To nieważne, że później okazał się najlepszym szybkobiegaczem w klasie. Takich rzeczy ktoś taki jak ja - nie zapomina. Nic więc dziwnego, że przy każdej okazji chciałem się na nim za to odkuć. - Powiedz - zamrugał swoimi ładnymi oczami, które podobały się dziewczętom. - Nic nie rozumiesz. Po co można iść do młyna? Po śrutę dla świniaka. Trzymamy wieprzy, żeby nie stać w kolejkach, zabrakło śruty, no i trzeba iść do młyna. - Pójdę z tobą. Pomogę ci. - Pójść możesz. Dla towarzystwa. Ale pomaganie wybij sobie z głowy. - Dlaczego? - To nie będzie to, co mabyć, gdybyś mi pomógł. Rozumiesz? - Nie. - To sobie nie rozum. - Skręciliśmy w Świecką. Przed nami, aż po Starodworcową, ciągnął się ułożony równo z czerwonej cegły mur cmentarny, nad którym smuciły się i tęskniły wysokie drzewa. - Słuchaj. Jestem twoim przyjacielem - próbował mnie jeszcze skruszyć Henio. - A ty nie chcesz, żebym ci pomógł? - Są w życiu rzeczy ważniejsze niż przyjaźń. - Jakież?

- Hart. - Henio umilkł, Słowo zostało dobrane w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Szedł teraz za mną w odległości pół kroku z opuszczoną głową. Byłem bardzo dumny z siebie, że tak sprytnie, prawie mimochodem, w zwykłej rozmowie na ulicy użyłem tego tak często powtarzanego na szkolnych lekcjach słowa. Że użyłem go, nie po to, żeby powiedzieć o innych, lecz o sobie. Szalik gryzł mnie w szyję, więc pomyślałem, żeby może go odwinąć i wpakować do kieszeni. Nie uczyniłem tego jednak. Zwyciężyła obawa przed bańkami. Matka, ilekroć się przeziębilem, stawiała mi na plecach bańki. Omiałała je przez sekundę płonąącym wacikiem umoczonego uprzednio w denaturacie, a później zręcznym ruchem przytykała je do mojej skóry. A one pod wpływem zawartej w nich próżni, wysysały moje ciało i napełniały się nim. Okropnie tego nie lubiłem. Jednak zawstydzilem się, że z obawy przed bańkami nie ściągnąłem szalika. Na szczęście Henio niczego się nie domyślił. Po przeciwnej stronie ulicy przemknął chybotliwym krokiem pijak Cichoń. Za nim zawsze elegancki sędzia Liegmann, a za sędzią obdarta babina ze wsi z kaczką kwaczącą w tobołku. Nie było co liczyć na to, że się przepogodzi, przejaśni.

Podskoczyłem, ułamałem gałązkę cmentarnej brzoźki, która zwisała przez mur, ale na jej lśniącej i uśpionej powierzchni nie znalazłem ani zarodka pąka. - Dziwne - powiedziałem do Henia, by złagodzić sytuację. - Kilka dni marca mamy chwalić Boga za sobą, a o listkach ani widu, ani słyhu. - Jakże chwalić Boga... - wymamrotał bez przekonania Henio. - No, przejęzyczyłem się. Tobie się to nie zdarza, co? - Nieźle sobie mieszka sędzia Liegmann - wskazałem na żółty dom z wysokimi oknami, zasłoniętymi tu i ówdzie drewnianymi żaluzjami, prześwitujący przez badyle bzów stłoczone w sporym ogrodzie. - Strzeże sprawiedliwości - stwierdził krótko i bez wahania Henio. - Odruchowo skręciliśny w Starodworcową. Wiodła ona jak i Świecka jedną stroną wzdłuż muru cmentarnego, zaś drugą dotykała ogrodu, szklarni i obłazłej z tynku kamienicy ogrodnika Klundra. - Że też takiego jeszcze ziemia nosi - pogroziłem pięścią w stronę mętnie odbijających sine niebo okien. - Starodworcowa rozciągała się mniej więcej na długość pobliskiego boiska piłkarskiego KS "Ogniwo". Dalej były już tylko tory i rozjazdy kolejowe, czerwona budka wagowego, wokół której późną jesienią gromadziły się całe tabuny koni z łbami zanurzonymi w workach z obrokiem, fury wyładowane aż po krawędzie wysokich burt burakami

cukrowymi i chłopi bezustannie judzący jeden przeciwko drugiemu. Nieco dalej rdzawiła się krótka bocznica] przeznaczona właśnie do przyjmowania cystern ze smołą, a koło niej ów podziemny magazyn nakryty z wierzchu czarną jak noc papą. Lubiłem przyglądać się rozładunkowi cystern i wciągać w nozdrza towarzyszące tej robocie zapachy. Dziś jednak zardzewiały tor był pusty i nie plątały się po nim, jak to się czasami zdarzało latem, nawet chude i oblepione bobkami kolejarskie kozy. Jedynie [obok jakiejś wielkiej skrzyni wywróconej do góry dnem stało dwóch ładowaczy w kombinezonach i raczyło się winem z butelki koloru piwnego. Musiałem się na nich za mocno zagapić, bo jeden z nich nie omieszkał smagnąć mnie językiem. - A ty co? Kota niesiesz topić w tym worku, czy co? - Nie kota, tylko konia. Słaby wzrok masz człowieku - odgryzłem się nieoczekiwanie lekko i gładko, choć zrazu przebiegła po mnie fala popłochu, że nie zdołam się odkuć za tę zaczepkę i stracę wszystko, co dziś już zyskałem w oczach Henia. - A to ci diacheł - powiedział drugi robotnik do tego, który mnie zaczepił. - Ledwie od ziemi odrósł, a już ci przysolił. - E tam. Jakbym mu ja przysolił, dopiero by poczuł. Tylko szkoda ręki, bo jeszcze młody. - Nie bacząc na ostatnie słowa, powziąłem

177

przekonanie, że wyszedłem z pojedynku zwycięsko. Nic więc
dziwnego, że jeszcze bardziej się napuszyłem, wciągnąłem więcej
powietrza w płuca, wypiąłem piersi do przodu, pomyślałem, że
może przegrana z Heniem w biegu, może nie była tak bardzo hańbią-
ca. Przed nami, już nad Bydgoską Szosą, drgnął i opadł powoli,
dzwoniąc i jęcząc to wesoło. to smutno, biało-czerwony szlaban
kolejowy. Gdzieś za łagodnym zakrętem, za nasypem porośniętym
spłowiałą teraz trawą rozległo się dudnienie. Zgnębiony i
zasmucony Henio zatrzepotał powiekami. - Wiesz co? Od dawna
chciałem z tobą porozmawiać szczerze... - Daj spokój! - krzy-
knąłem ostro i oschle. - Bo co? - Nie widzisz? Parowóz...
- Zza zakrętu, osaczona poświstami i kłębuszkami pary wyrwała
się wielka, ciężka i uwalana do cna tłustymi smarami maszyna.
Samotna, nie wlokła za sobą żadnych wagonów. Miarowo pracowały
tłoki i wprawiały w posuwisty ruch stalowe sprzęgi ogromnych kół.
- Patrz, Henio! - wołałem w przypływie entuzjazmu. - To jest
siła, co? - Parowóz przemknął obok nas i aż przytłoczył nas
ciężkim brzękiem rozpędzonego żelastwa. Odruchowo obydwaj
cofnęliśmy się od toru. Między tendrem a budką lokomotywy uwijał
się palacz. W budce stał maszynista. Nacisnął jakąś dźwignię
i rozległ się krótki, lecz zdecydowany dźwięk sygnału.

- To jest siła, Henio. - Nie odpowiedział. - A ja nie chciałem mu się później zwierzyć, gdyśmy już schodzili w dół Bydgoskiej Szosy w stronę przegrodzonej tamą rzeczki, nad którą sterczał młyn, z tego, że widok parowozu rozpałił moją wyobraźnię. Ujrzałem nie jeden, lecz dziesiątki, setki i tysiące takich parowozów, dymiących, poświstujących, gubiących kłębuszki i kłęby pary, ujrzałem je oczywiście w biegu, w pracy, w pędzie, przewożące całe góry różnych towarów, obsługiwane przez armie zasmolonych i umorusanych palaczy i maszynistów. Obraz ten był i podniecający, i radosny, i groźny, ale nie umiałem tych wszystkich uczuć nazwać i dlatego jeszcze raz powiedziałem do Henia: - To jest siła. - On jednak zdążył już skupić się i znaleźć argument. - Pewnie, nie powiem. Ale maszyna parowa na statku jest silniejsza niż parowóz. - Silniejsza? Statku tu jednak nie zobaczysz. A parowóz - tak. - Trzy razy na dzień. Czasami cztery. - Są duże miasta i małe miasteczka. Nasze jest małym miasteczkiem. Jak skończę szkołę, pójdę do dużego miasta. - A ja - powiedział Henio - zostanę. - I będziesz stemplował listy na pocztę jak twój tatko. - Mój tatko nie tylko stempluje listy. Wieczorami, jak ma wolną chwilę, pisze powieść. - Powieść? - aż rozdziawiłem gębę ze zdumienia. Tego się po Heniu nie

181

spodziewałem. - A o czym? - O wojnie. O rozstrzeliwaniach w Rudzkim Moście. - W czasie wojny mnie tutaj nie było. A tam, gdzie byłem, były nie tylko ~~xx~~ rozstrzeliwania, ale także partyzantka. Niemcy rozstrzeliwali Polaków, a Polacy zabijali Niemców. Niemców i wszystkich donosicieli. Wiesz Henio, co? - westchnąłem - żeby już nie mówić o tej powieści - najgorsze było to, że do tej wojny byliśmy za mali. - Co zrobić? To już nie nasza wina. Właśnie przekroczyliśmy linię torów prowadzących do Wierzchucina i dalej - Laskowic i Bydgoszczy. Przeszliśmy pod uniesionym już wysoko i wycelowanym jak wielki paluch w szare chmury szlabanem kolejowym. Poprzez gałązki ogołoconych z listków lip, zasadzonych w niewiadomych czasach wzdłuż Bydgoskiej Szosy, odsłonił się widok na garbate wzgórza, które tykały niebo na łyskowskie i świteckie lasy, na drogę opadła w dół, aż do wąskiej przełęczy mostu przerzuconego nad rozlewiskiem Kiczy. W tym miejscu czuło się już miarowe dygotanie przyprószonego mąką młyna. Z dygotaniem młyna powinien się mieszać nieprzyjemny i jękliwy jazgot pił tnących drzewo w tartaku, ale nad wielką przestrzenią ciągnącego się aż pod las wygonu panowała grobowa i niewytłumaczalna cisza. Lubiłem ten zakątek miasteczka. Lubiłem ~~nik~~ dlatego, że rozchodziło się stąd wiele dróg, które wiosną, latem czy

jesienią prowadziły mnie to w wąwozy i uskoki Gór Czarownic,
gdzie przy pewnej dozie szczęścia można było natrafić na jeżyny;
to w stronę zgubionej wśród lasów miejscowości Piszczek, gdzie
koło starego i opuszczonego młyna wodnego Kicz uchodziła do Brdy;
to wreszcie w głuche ostępy rozciągnięte za Świtem, gdzie
rosł niezmiernie gruby dąb, a nurt rzeczny rozbił się o twarde
i nieprzejednane grzbiety podwodnych głazów, które stanowiły
przekleństwo kajakarzy i nielicznych już flisaków spławiających
tratwy. Po opuszczeniu moich bliskich stron, ciągle jeszcze
tęskniąc za ciotką Lucyną, za dwoma pięknymi kościołami, za
poziomkowym smakiem lodów sprzedawanych w budce Gzowskich,
uciekałem tu często z domu i z miasteczka, żeby zdusić w sobie
rozgoryczenie i smutek wywołane tym, że przez długi czas nie
pasowałem jakoś do nowego miejsca. Wszystkie te sprawy były
duszne i wstydlive. Może dlatego z nikim o nich nie mówiłem,
nawet sam przed sobą chciałem je jakoś ukryć, tylko że mi się
to nie zawsze udawało. [O czym ten Heniek - ogarnęła mnie nagle
ciekawość - chce ze mną rozmawiać? W dodatku szczerze? Sam to
przecież podkreślił. Może i on ma coś, co go dręczy od dłuższego
czasu, o czym jeszcze nikomu nie napomknął? - Szedł zamyślony
obok mnie. Tuż przed płynem musieliśmy usunąć się z drogi, bo

wozak usadowiony okrakiem na wielkim pniu świezo ściętej w głębi lasu sosny, nie zdołał w porę wykręcić parę gniadych i ciężkich wałachów i zjeżdżając w dół z górki, na której sterczało ogrodnictwo Erlicha, zapędził się aż za mostek. - Prr! Prr! Prr! - darł się na cały głos, a z kącików ust kapała mu ślina. Konie już stały w miejscu, ale wyczuwając zwierzęcym instynktem, że stało się coś nie tak, jak miało się stać, to wpierały się podkowami i kopytami w bruk, to cofały się w tył, gnąc w wielkim mozole i napięciu zady i karki. Tylko okrzesany siekierkami z gałęzi pień sosny tkwił nieporuszony w całym tym bałaganie, przytwierdzony mocnymi łańcuchami do potężnych, drewnianych rozwidleń opartych na dwóch parach oddzielonych od siebie i ogumionych kół. - Nu Hans, nu Horst, szwabskie juchy - ryczał do koni wozak skracając i ściągając do siebie natłuszczone tranem skórzane lejce - cofajta się, bo wam te puste łby poury-wam. I siekł je batogiem po wylupiastych zadach, po grających pod zwartymi mięśniami pręgach krzyży. - Ej, knapy - wrzasnął zobaczywszy mnie i Henia.- Chwyćta te dwa diachły za uzdy i pchajta je do tyłu. - Przewyciężając solidarnie lęk, bo konie wyglądały groźnie, spełniliśmy jego rozkaz. Ręce oblepiła mi gęsta końska ślina, ziarna owsa, strzępy sieczki.

Pień drgnął i zaczął powoli wędrować w przeciwną stronę. - Dobrze
~~Kurwa jebana mać~~, dobrze knapy - darł się wozak. - Pchajta
jeszcze trochę. A teraz pchajta i ciągnijta je trochę w prawo.
- Kopyta koni zadzwoniły na moście i wreszcie wozak - ciężko,
bo ciężko - mógł wykręcić. Odziomek pnia jak czubek lufy
wielkiego działa zatoczył skomplikowaną drogę i zjechał wraz
z końmi i wozakiem w dół, w wolny przesmyk między rampą a biurem
młyna. Wozak jednak nie ruszył dalej, pod bramę tartaczną
widoczną w głębi, lecz zatrzymał się pod ubielonym mąką i otrę-
bami dachem. Chodźta tu knapy - wezwał nas. - Przybliżyliśmy
się, ciekawi, co też od nas chce. - Czyj ty jesteś? - zwrócił
się najpierw do mnie. - Takie pytanie, zwłaszcza stawiane tu,
w miasteczku, nastroczało mi zawsze kłopoty. Bo też nie bardzo
wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy zgodnie z prawdą, że Oruckiego,
nauczyciela, czy zgodnie z rzeczywistością, że Niewiady, doktora?
Do ojczyma zresztą nie lubiłem się przyznawać. Nie ja go przecież
sobie wybrałem, nie płynęła w moich żyłach jego krew. - Nieswój -
odpowiedziałem więc wykrętnie. Wozakowi nieoczekiwanie to się
podało. - To coś jak ja. A ty? - zwrócił się z kolei do Henia.
- Brzozy. Tego z poczty. - A, tego to znam.

We wojnę jeszcze list wysyłałem. No to chlapijta sobie po łyku.

- Wyciągnął zza kufaji flaszkę i wręczył mi ją. Skłopotany nie bardzo wiedziałem, co z nią zrobić. - Tylko mi nie opowiadajta, żeście jeszcze sznapsa w gębie nie mieli. - Odebrał mi flaszkę, wyciągnął zębami papierową zatyczkę, przytknął do zsiniałych z zimna ust i upił spory haust. - Tak to wygląda, jak już co. No masz. - Co było robić? - Alkohol, choć pociągnąłem go niewiele spekł mi gardło i rozszedł się falą ciepła po całym ciele. W dodatku zakrztusiłem się. Po chwili krztusił się wraz ze mną Henio. - No knapy - powiedział uradowany nie wiadomo czym wozak - najważniejszy jest początek. Jak już zrobiliście początek, to teraz będzie już wam szło gładko. Jak będzieta chcieli drugi raz, to znajdźta mnie w lesie albo tutaj. - Zaciął konia batogiem i odjechał powoli w stronę tartaku.

- - - - -